NUMER 35. DNIA 27. SIERPNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MARJA WYSŁOUCHOWA.

(Dokończenie.)

Od roku 1900 zaprzestaje Wysłouchowa poszczególnych wydawnictw ludowych, a natomiast zabiera się do pracy ciąglejszej, wymagającej więcej może trudów, a mniej dającej dowolności, lecz bezpośredniej jeszcze łączącej Ją z ludem. Najpierw wraz ze szczupłem gronem dobranych osób rozpoczyna wydawać w Krakowie pismo ludowe dla kobiet: „Przodownicę". W prędkim wszakże czasie usuwa się z redakcji i zakłada miesięcznik dla ludu „Zorza", który już we Lwowie samoistnie prowadzi. Niezwykłe to zaiste pismo.

Oto mam przed sobą zbiorek z całego trzechletniego jego istnienia. Dość jest otworzyć te karty, aby nie módz na długo od nich się oderwać. Po krótkiej chwili ogarnia nas wrażenie jakiegoś dziwnie jasnego światła, przedziwnej czystości uczuć, czegoś wysoce szlachetnego, czegoś, co koi, wzmacnia, podnosi i kocha — przedewszystkiem głęboko, serdecznie kocha. Zupełnie wówczas staje się zrozumiałą korespondencja ostatniej stronicy każdego numeru: zamiana myśli czytelników z ukochaną redaktorką. „Zorza" przez trzy lata karmiła duchowo, oświecała i uzacniała czytelników nader licznych, po całym świecie rozrzuconych, bo przepływała aż ocean, aby dalekim braciom o Ojczyźnie opowiadać. Żaden ton fałszywy, żaden zgrzyt nigdy w niej nie zadrgał. Mówiąc przeważnie o obowiązkach i pracy dla kraju, ma jeden cel i jedną wyraźną drogę: uszlachetnienia i oświecenia — i z drogi tej nie schodzi na jeden krok, na jedno samolubne słowo!

I cóż wypełnia tę „Zorzę?" Zeszyt spory na miesiąc czytania spracowanych ludzi wystarczyć musi. Przedewszystkiem mówi o rzeczach ojczystych. Więc mnóstwo tu artykułów, dotyczących dziejów Polski, starych wspomnień, opowiadań, objaśnień lub fragmentów z historji, dalej wszystko co etnografji dotyczy, co może poświadomić czytelników o przestronności i różnobarwności szerokiej ojczyzny, o obyczajach, zwyczajach, pieśniach i czynach dalszych i bliższych rodaków, — potem, dział t. z. belletrystyczny, nader starannie dobrany, kędy nie braknie imion pierwszorzędnych, dział poezji także, idąc w ślad życzeń czytelników obfity i niepospolicie piękny — wreszcie życiorysy, wspomnienia, rocznice. Nie brak, naturalnie, kroniki bieżących wypadków, a w końcu numeru znajdą się zawsze rady gospodarskie, nie zdawkowe, a istotnie użyteczne dla wiejskich gospodyń. Wielce ciekawą jest korespondencja, o której już wspomniałam, nie tonem relacyjnym prowadzona, lecz będąca szczerą, pełną prostoty wymianą myśli, uczuć i pragnień z jednej strony, żywego przywiązania siostrzanego — z drugiej. Tak się tam bezpośrednio zagląda w bogatą skarbnicę wieśniaczego serca — i tak łatwo zrozumieć tę miłość, jaką czytelnicy żywili dla swej oświecicielki: „Zorzy".

Jak wszystko, co dotyczy Śląska, wyszczególniają się w „Zorzy" artykuły Wysłouchowej o ziemi śląskiej. Prześliczne to, barwne, pełne żywej treści opowiadania, zaczerpnięte z pobytu autorki na Śląsku. Świat górski z całą malowniczością przyrody i ludzi, życie, obyczaje, podania, cały świat ich myśli i treści wewnętrznej w pięknych obrazach rozsnuwa się nam przed oczyma, jak żywy.

Język, jakim posługuje się redaktorka w swej „Zorzy" nie nagina się nigdy do pewnej dziecinności, o jakiej wyobrażamy sobie, że należy zwracać się do ludu. Przetapianie się w duszę ludu stało się niejako drugą naturą autorki, mówi więc swobodnie, poważnie, a pięknie, sięgając nierzadko do wyższych sfer podniosłego uczucia.

Jeśli ktoś raz, poważnie, zajmie się piśmiennictwem ludowem w Polsce z doby ostatniej, „Zorza“ obok niespożytych prac Prószyńskiego (Promyka), niewątpliwie pierwszorzędne zajmie miejsce. „Zorza“ była ostatnią niemal pracą Wysłouchowej. A jak bardzo pracę tę miłowała, dość jest wspomnieć, że przy silnych cierpieniach fizycznych, przy wielkiem osłabieniu nerwowem zajmowała się nią niestrudzenie, bardzo rzadko pozwalając wyręczyć się komu. Ostatni numer „Zorzy“ przyniósł czytelnikom pożegnanie redaktorki, gdzie dusza Jej czująca a smutna przemówiła po raz ostatni rozbłyskiem wielkiego ukochania swego i całem swem pięknem nieśmiertelnem.

Obok tych prac nie przestawała Wysłouchowa pisywać do „Kurjera“, częściej do „Tygodnia“. Są to wszystko rzeczy z wybitnym talentem pisane. Za treść służą zawsze bądź historyczne wspomnienia okolicznościowe, bądź pełne poezji opisy naszej ziemi, bądź rzeczy odnoszące się do życia ludu. Odznacza je właściwa autorce barwność i poetyczność stylu i obok poważnej treści lotność uczucia.

Najcenniejszemi w tym dziale są prace o Śląsku. Przed laty kilku parokrotnie pojawiały się w „Tygodniu“ wspomnienia „Ze śląskiej ziemi“. Artykuły te mówią właściwie o Istebnej, wiosce góralskiej w Ks. Cieszyńskiem położonej, rzecz jednak traktują tak zasadniczo i tak ją obejmują szeroko, że tworzą wartościowy przyczynek do monografji Śląska Cieszyńskiego na ogół. Nie przybierając szaty erudycji, w prostem opowiadaniu daje nam autorka mnóstwo szczegółów zasadniczych z życia śląskich górali, poświadamia nas o ich zwyczajach, tradycjach, starych ustanowieniach, dziś jeszcze żyjących i zdobyczach doby najnowszej, które tak bardzo odróżniają Ślązaka od ludu naszych okolic, przedstawia ich przekonania i dążenia, ich walki polityczne o prawa narodowe; z drugiej strony daje nam obraz ich mieszkań, ich strojów, ich gwary starej, ich charakterów wreszcie. A wszystko to rozwija się na tle wspaniałej przyrody górskiej, w żywym opisie tych zdarzeń i chwil, w których autorka sama brała udział.

Czytając, doznajemy wrażenia, że na tych górskich wycieczkach, na tych wieczornych w chacie pogawędkach jesteśmy wzrokiem i słuchem obecni, że otaczają nas te wspaniałe, niby z kamienia ciosane postacie gazdów, baców, góralskich artystów i wiejskich myślicieli. Rzecz to jest w swym rodzaju tak piękna i barwna, jak rzadko podobną spotkać można.

Czasopismo „Lud“ za rok 1896 pomieściło także obszerny artykuł Wysłouchowej, odnoszący się do opisów wsi Wisły, również w Cieszyńskiem położonej. Jest to rozprawka czysto etnograficzna zawierająca dużo ciekawych, a cierpliwie zbieranych szczegółów, dotyczących domostwa, sprzętów, jadła, narzędzi, roślin, a także i gwary górno-nadwiślańskiej. Poza tem pozostała jeszcze niewykończona praca o Śląsku. Są to materjały, nader starannie zebrane, do wyczerpującej monografji gminy Istebniańskiej. Znając wielką pracowitość i ścisłość w pracy autorki niemylnie przewidywać możemy, że gdyby była ukończoną, mielibyśmy doskonałą rzecz o tym ciekawym zakątku ziemi Cieszyńskiej.

Próbowała także Wysłouchowa i baśni. Wrażliwe Jej ucho podchwyciło czujnie bogatą mowę tatrzańskich górali i z właściwą sobie płynnością a żywymi blaskami opowiada nam gwarą zakopiańską baśnie górala zakopiańskiego; a chociaż w przedwstępnem słowie mówi, że „spisane tracą one pierwotną swoją świeżość rosy porannej, gasną i bledną, niby kwiat w bibule zasuszony“ — czytelnik jednak innego jest zdania i z pełnem uznaniem przyjmuje świeżość i kwiaty bogatego talentu opowiadającej.

Oryginalne utwory Wysłouchowej nie są jeszcze całym plonem pracy Jej literackiej. Dała nam ponadto bogaty dział przekładów. Pomijając tłumaczenia z francuskiego, są to wszystko dzieła słowiańskiej literatury, czeskie przeważnie. Czechy, zdawało się, były najbliższe po własnej Ojczyźnie sercu zasłużonej pisarki. I Czechy umiały to odczuć i umiały Ją ocenić. Pierwszy głos żywszy, jaki mię uderzył po zgonie ś. p. Wysłouchowej, był głosem od strony czeskiej: „Wy nie umiecie tak cenić Wysłouchowej, jak my Ją cenimy i znamy“ — ozwały się słowa wyrzutu. Niestety, była w nich prawda. Kiedyśmy jeszcze milczeli, z Pragi, dość dawno, z pod pióra znakomitego wyszły te słowa:

... „Osobistość to wysoce interesująca, której oddana, energiczna, ale niepowszednią skromnością zasłaniająca się działalność wypływa z jedynego, głębokiego zdroju: ze szczerego, płomiennego zapału dla oświaty i dobra ludu polskiego. Niezatartego wrażenia genjalności i szlachetności charakteru doznał każdy, kto kiedykolwiek miał styczność z panią Marją Wysłouchową, pisarką i dziennikarką ze Lwowa. Żarliwa patrjotka, w każdej żyłce przejęta gorącym zapałem dla postępu ludzkości, dla reform sprawiedliwych, dla zdrowych ideałów przyszłości, dla światła, prawdy, uobyczajenia całej doby obecnej; czuwająca a promienna duchem i żywością

uczucia — tak się przedstawia istność tej niezwykłej kobiety, w której sercu tkwi cierń wielkiego bolu: świadomość, jak wiele jeszcze braknie ludowi polskiemu do pożądanej równowagi dojrzałości duchowej i jak mało ma dotąd przyjaciół idea sprawiedliwej oświaty, mianowicie wśród klas szczęśliwszych, między szlachtą polską“.

Pierwszą z prac czeskich, spolszczonych przez Wysłouchową, były „Obrazki z gór“ K. Švětli. Nie są to rzeczy wielkie, ale tak bijące świeżością, wdziękiem, ogromnem pięknem prostoty, że się je odczytuje z prawdziwą przyjemnością. Nie trzeba dodawać, że wzięte są z życia ludu. Wysłouchowa i jako tłumaczka nie zejdzie krokiem z celowej swej drogi. A przekład jest świetny. Nigdzie nie dojrzeć śladu łamania się z układem obcej myśli, ani jednego pośliznięcia się w stronę obcej mowy — swobodnie, żywo, piękną wymową toczy się opowiadanie tak łatwo, a tak serdecznie, jakby tłumaczka z własnej duszy, własnemi usty snuła opowieść.

Idzie dalej cały szereg tłumaczeń: z czeskiego: Švětli, Jiraska, Stroupeżnickiego, Sokolovej, z serbskiego: — Lazarewic'a; ze słoweńskiego — Janka Kersnika; z bułgarskiego — ustępy z dziejów Stojana; z rosyjskiego — Korolenki, Garszyna, Kowalewskiej i Tołstoja „Odrodzenie“ tom pierwszy. Jeśli dodać do tego odczyty o literaturze czeskiej, o bohaterach bułgarskich z doby walk za swobodę i t. p., to będziemy mieli żywy obraz pracy, jaką podjęła niestrudzona pisarka w celu zaznajomienia nas z literaturą i myślą słowiańskiego świata.

I nietylko zaznajomienia; wybór dzieł tłumaczonych świadczy jasno, że nie o pogląd literacko-naukowy szło tu wyłącznie; raczej o dołączenie do głosów własnego narodu głosów pokrewnych, wołających o sprawiedliwość i prawdę, przemawiających w imię miłości Ojczyzny i szczytnych ideałów ludzkości.

Te strony uwydatnia w sobie bodaj najżywiej ostatni z przekładów Wysłouchowej: „Chodowie“ Jiráska. Utwór sam piękny i niezwykle podniosły, w tłumaczeniu zdaje się jeszcze urasta i dużo mocy ma w sobie.

Zamykamy tem krótki ten przegląd prac literackich Wysłouchowej. Lecz prace Jej literackie to tylko mniejszy odłam Jej działalności na niwie społecznej. A rozległą była ta działalność, szeroko rozwarte jej ramy.

Od lat wielu, krok za krokiem, w znoju i czujności szła niestrudzona pracownica, wziąwszy na barki wielki, doniosły w swej treści ciężar. Hojną ręką rzucała złoty posiew myśli swej, słowa i czynów — i te wzrastały, a bujnie.

Zrazu, po wysłuchaniu kursu pedagogicznego, pracowała jako nauczycielka gimnazjalna w ukończonem przez siebie pskowskiem gimnazjum; dłużej w zakładach naukowych p. Smolikowskiej i p. Czarnockiej w Warszawie; następnie we Lwowie czas jakiś wykładała w zakładzie p. Niedziałkowskiej. Czem były te lekcje, żywo nam streszcza w krótkiem wspomnieniu jedna z byłych uczenic:

„Kochała nas, kochała w nas dobry podkład, dobry grunt dla szlachetnych uczuć, które w nas obudzić pragnęła. Gdy postępowałyśmy dobrze, cieszyła się, jak najbardziej zaślepiona matka; złe w nas dostrzeżone strasznie Ją martwiło... Umiała lekcjami swemi, wpływem swoim wykuwać ludzi. „Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“ — w to wierzyła. Chyba niejedna z Jej uczenic powiedzieć może o sobie, że w wielkiej części Jej zawdzięcza drogę w życiu obraną. Naukę i Prawdę kochać uczyła. Zapał do nauki taki obudzić umiała, że starsze Jej uczenice umiały od świtu do późnej nocy nie podnosić się z nad książki, z której wchłaniały poprostu słowa wielkich myślicieli. Kochałyśmy Ją fanatycznie“..

W życiu społecznem sfer inteligentnych zajmowała zawsze wybitne stanowisko. Przez kilka lat zajmując się „Czytelnią dla kobiet“ we Lwowie, wkładała całą energję swej żywej duszy, aby umysły kobiet na szersze skierować drogi. Było to przed laty kilkunastu — uprzytomnijmy sobie, jaką była wówczas kobieta galicyjska, a jaką jest teraz. W tej olbrzymiej zmianie, u podstaw, czyjaż ręka naciskała najsilniej rozpędowe koło?

Lecz w ostatniem dziesięcioleciu pochłonęła Ją zupełnie praca dla ludu. Była to chwila budzenia się z długiego snu Galicji, a lud był twardo uśpiony.

Pracując od początku istnienia „Przyjaciela Ludu“, będąc jego współredaktorką w przeciągu lat trzynastu, Wysłouchowa jedna z pierwszych podnosi hasło podźwignięcia ze snu duszy włościańskiej. I porwana tą pracą, walczy z otaczającym zastojem, łamie co krok tamy przesądów, niechęci, często przeszkód rozmyślnych i idzie naprzód niezniechęcona, z niezachwianą głęboką wiarą w prawdę swej drogi, w dosiężny jej cel, uniesiona nieraz, gdy żywe, wciąż widoczniejsze, coraz bogatsze wzrastają plony Jej pracy.

I oto w południu swych trudów, w najbujniejszym rozkwicie czynności — zgasła. Ciężka choroba serca ubezwładniała silny organizm przez lat kilka.

Aż złamało się to serce wielkie, spłonęło w całopalnej ofierze na ołtarzu umiłowanej idei.

Była z tych, co nie błyskawicą czynów, nie gromami haseł walczą w zaciekłym boju — lecz każdodzienną, czujną pracą, a orlim lotem naprzód wciąż dążą i płoną.

Gdybym miała w paru słowach skreślić Jej wizerunek, powiedziałabym: Była z rodu entuzjastek. Jak one wszystkie, duszę miała wrażliwą: umiała zło nienawidzieć, dobro ubóstwiać, ponad wszelką powszedniość wzbijać się myślą wysoko.

Ale danem Jej było coś więcej jeszcze. Dzięki fenomenalnej pamięci kiedykolwiek przeżytych wrażeń, wszystkie uczucia, jakie życie zapalało w Jej piersi, gorzały zawsze równym, wiernym sobie płomieniem. Stąd i w wielkich i w małych rzeczach było Jej czynów dewizą: „Raczej umrzeć, niźli wiarę złamać“, stąd z istoty tego ducha wynikało, że miał On nietylko lot górny, ale dziwnie prostolinijny.

Dziś, w ciszy cmentarza, cienie świerkowe już tylko z głuchym poszumem kołyszą się nad granitem pomnika, śpiewają pieśń ukojenia i ciszy — lecz duch Uśpionej, Jej myśli, Jej pragnienia szeroko, daleko płyną po kraju i echa w sercach naszych budzą.

... „A jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe?...“ głosi pytanie na Jej mogilnym pomniku wyryte — życie odpowie kiedyś na nie plonem posiewu Jej myśli i pragnień.

Wanda Dalecka.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Bajeczny świat Tatr.

(ZE SZKICÓW DO STUDJUM).

ZBÓJNICY.

(Ciąg dalszy.)

Oprócz rodów zbójeckich i zbójników „z powołania“, którzy nie chcieli być „gazdą, ani rolnikiem“, byli jedni, którzy się rozpuszczali na szałasach, jako juhasi i do zbójników przystawali, i drudzy, których wyganiał ku dobrym chłopcom pobór wojskowy austrjacki.

W dawne czasy kogo wzięto, ten najczęściej nie wracał wcale, albo wracał starym człowiekiem. Werbunek się odbywał ostro i do dziś błąka się jeszcze we wspomnieniu piosenka:

Werbuje, werbuje cysarka Tereska,
Juz powerbowała, kany jaka wieska.
Byli tu rajtary, pytali się o nas... etc.

Wówczas, kto uciekł w góry, pełne jeszcze olbrzymich lasów i otoczone niemi, był bezpieczny. Zbójnik, który się na dobre temu „rzemiesłu“ oddał, odstawał od rodziny, od krewnych i sąsiadów, a za brać miał przedewszystkiem towarzyszy. Mieli oni swoje umówione znaki, swoje specjalne melodje, swój taniec, swój język.

W języku tym jest dużo ogólnie używanych w gwarze złodziejskiej polskiej wyrażeń: andrus, knajać (iść, jechać), siorsa (droga), niedźwiadek (kuferek) etc.

Była melodja, śliczna i tęskna, którą np. grywali w bandzie Wojtka Matei, kiedy się na wyprawę wybierał; jest zbójecki marsz; jest nuta Janosikowa, zaczynająca się od słów:

Za Tatry, chłopcy, za Tatry,
Jest hań zydek bogaty —
Ej sto Bohów do nieho!
Ej podźmy se na nieho!...

Nieraz, kiedy który z „wesołych“ do domu powróciwszy, wczasu tam używał, starym rodzicom, siostrom, braciom młodszym radość swoją bytnością sprawując: nagle, w ciemną noc, usłyszał on lekkie pukanie w okno. Zrywał się z pościeli, wdziewał „zbroję“ i ledwie powiedziawszy: Ostańcie z Pane Boge! — i odebrawszy: Boze cie prowodź! — szedł. Bo trzeba było iść: przysięga obowiązywała.

W zimie była bieda, kiedy trzeba było z gór wyjść, a nawarzył który tyle, że się nigdzie śmiało pokazać nie mógł, bo wszędzie czatowali na niego hajducy ówcześni.

A „zbójeckie prawo“ było krótkie. We dwadzieścia cztery godzin wieszano i to było także prawo dworu, a w spichlerzu ludzimierskim w piwnicy, ja sam pamiętam, hak do wieszania i za spichlerzem dół, zasypany cegłą, gdzie miały być pochowane kości powieszonego „prawem dworskiem“ opryszka, choć wolę wierzyć, że były tam tylko zasypane kości wściekłego psa, jak też mówiono. W każdym razie, jeżeli tam kogoś powieszono, to najmniej ze sto lat temu.

W zimie była bieda, ale w lecie było wesoło. Zbójnicy hulali po górach i lasach, przychodzili na szałasy, sprawiali uczty sobie i juhasom. Jużci juhasy potem przed właścicielami owiec wytłómaczenie mieli: ze zbójnikami nie było co żartować. Barany więc rżnięto, całe w kotłach w mleku warzono, żentycę pito, oszczypki krajano, a grała przytem orkiestra cała, kobzy, gęśle, fujery, trombity, co kto chciał. Zbójnicy znieśli wódki, wina, szła ochota, taniec, śpiewy. Byli tacy zbójnicy, co poprostu kontrybucję w baranach i serach wybierali, i tacy bacowie, którzy się opłacali, aby nie być niepokojonymi kradzieżą lub otwartym napadem. Bo znowu nie wszędzie był taki baca, jak ów Wojtek Gał, koło młyńskie ręką hamujący, który wprawdzie sam byki i krowy ze Spiżu i Liptowa prowadził, ale swojego szałasu ruszyć nie dał nawet całej bandzie.

Jak we wszystkiem, tak i przy zbójectwie cechowali się Górale chytrością, podstępnością i dowcipem. W nieskończonej ilości warjantów powtarza się opowieść o okradaniu karczem i szałasów w taki sposób, iż zbójnicy przyszli niby na zabawę, a w rzeczy pod pozorem zabawy dokonali grabieży. W karczmie więc tańczy harnaś z karczmarką, gdy tymczasem jego towarzysze okradają komorę, i sam jej ironicznie śpiewa:

Tańcuj ze se, tańcuj, kacmarecko tłusta,
Na jutro na rano komórecka pusta!

a daje radę kradnącemu, przyśpiewując:

Uwazuj ze Florku,
Kiełbasy na kołku,
Jest pono i syry,
Cosik dwaścia śtyry!

Indziej znowu, na hali, poi on bacę i juhasów, a „daje poziór“ na kradnących owce, improwizując niby od ochoty:

Uwysaj sie, unizaj sie, bo ci kłobuk widno!
Hrubsom chwostu, bakiesistom, uwijaj sie śmizno!

(podwyższaj się, zniżaj, bo ci widać kapelusz — grubszą ku ogonowi, tłustą, uwijaj się szybko) — i dając w ten sposób przestrogę kradnącemu.

Humor, fantazja, animusz, wesołość są nieodzownymi przymiotami zbójnika. Jak kradnie z humorem, a okradłszy karczmę, śpiewa:

Chłopcy moi, chłopcy, kieście juz skończyli,
Mozebyście se karcmom fajki zakurzyli!

poczem karczma płonie: tak i z szubienicy nie wiele sobie robi.

Kie mie powiesicie, powieściez mie w mieście,
Baryłkę z palenkom (wódką) nade mnom powieście,
Hań budem se wisiał, budem se spocywał,
Budem se palenku po kóndku (po trochu) popiwał [etc...

Pogarda śmierci nie ma granic. Kiedy go złapią, „budzie wisiał, na wiersku jedlicki, budzie sie kołysał“; „abo go zabijom, abo go powiesom, abo go ptoskowie po wirskak ozniesom“; „abo go (tym razem bardzo nieprzyzwoicie) zabijom, abo mu łeb zetnom, abo mu po śmierzci“... A przytem jest ta duma:

Ej, kieby jo wiedział, na wtorej byk wisieć miał,
Od dołu do wirsku pozwybijać byk ju dał:
Ej od dołu talarami a do wirsku dukatami,
A na wirsku złotu kawku, hań połozem moju hławku!...

Nie dziw też, że za tymi „bohaterami“, bezwarunkowo bohaterami w swoim homeryckim rodzaju, ginęły dziewki, ale też i oni ginęli przez nie. Utrwaliła się w pamięci ludu piosenka:

Idzie zbójnik (z) za Luptowa,
Ciece mu krew (z) za rukowa,
Z za rukowa i z główecki,
Syćko bez zdrade dziewecki...

Były i zbójniczki, jak owa słynna Maryna z Zasihły, zwana „Cycorzasty Jano“, do dziś pamiętana.

Skarby swoje albo dzielili zbójnicy między siebie, w ten sposób, że herszt brał czwartą część, a resztą dzielili się towarzysze, albo też zakopywali je w ziemi i zaklinali, że nikt obcy ich znaleść, ani też żaden z nich z osobna wydobyć nie mógł. Skarby te do dziś spać Góralom nie dają i znaną szeroko jest śpiewanka:

Jaworu, jaworu, coś taki pękaty,
Cy cie ospucyły zbójeckie dukaty?

O stosunkach z nadprzyrodzonym światem w historjach zbójeckich nie słychać wiele. Umieli niektórzy kule zamawiać, wróżyć sobie i drugim, ale wogóle więcej ufali swojemu genjuszowi, żeby np. wołu obuć w kierpce w przeciwną stronę, żeby się zdawało, gdy ukradzionego wołu uprowadzali, że właśnie ku okradzionym ktoś szedł, niż w nadprzyrodzoną pomoc. Zresztą zbójnicy pobożni bywali i w Nowym Targu w XIII. w. podobno oni kościół ufundowali, co nie przeszkadza, że w Chochołowie kościół w XIX. w. okradli. Często też ślubowali Panu Bogu ofiary, jeśli się wyprawa uda, lub składali ją z części łupów.

Że jednak dla stanu duchownego zbyt wiele respektu nie mieli, tego dowodem, iż sprowadzeni w XIII. w. do Ludzimierza przez wojewodę Iwona Cedrę cystersi, wkrótce się, niepokojeni przez opryszków, do Szczyrzyca przenieść musieli. Klasztor znikł z czasem zupełnie, a najstarszy na Podhalu kościółek drewniany przed dwoma dziesiątkami lat rozebrano, tak, iż tylko starodawne cysterskie dzwony w nowej dzwonnicy biją.

(Dok. nast.)



MAKSYM GORKIJ.

CZŁOWIEK.

I.

...W godzinę omdlenia ducha, — kiedy z pamięci wyłaniają się widzenia przeszłości, ziejące wilgnem tchnieniem, — kiedy myśl, jak gdyby chłodne, jesienne słońce rozświeca ponury chaos rzeczywistości i złowrogo wiruje na jednem podścielisku, niezdolna unieść się w zwyż i ulecieć w bezkresy; w tę ciężką godzinę omdlenia ducha, wiedziony potęgą własnej wyobraźni, oto zakreślam przed wzrokiem mej duszy wspaniały obraz Człowieka!

Człowiek! Jak gdyby jasność słoneczna w piersi mojej rozbłysła, a w tem jaśnieniu, niepojęty i nieskończony, wolno kroczy — naprzód! — orlim lotem! — tragicznie piękny Człowiek!

I widzę jego dumnie wzniesione czoło, jego pogłębione, jasne oczy, a w nich promienie niezwyciężonej, mocarnej Myśli, ukorzonej przed cudowną harmonją wszechistnienia, tej skupionej mocy, która w chwilach wyczerpania się tworzy bogów, w epoce zaś trzeźwości niszczy je.

Zgubiony wśród pustyni bezmiarów, samotny na nikłym skrawku ziemi, lecącym z nieuchwytną szybkością gdzieś przed się, w głąb nieskończoności; targany ustawicznie pytaniem, „po co istnieję?“ odważnie dąży naprzód i w górę! do opanowania wszystkich tajni ziemi i nieba.

Idzie, zraszając krwią serdeczną swój życiowy szlak i z tej piekącej, krwawej posoki wypielęgnowuje nieśmiertelniki poezji; roztęskniony lament swojej zbuntowanej duszy przemyślnie w muzyczne przemienia dźwięki, drogą doświadczeń zdobywa wszystkie tajniki wiedzy i każdem poruszeniem ozdabiając życie, — jak słońce, co krasi ziemię szczodremi swemi dłońmi — mknie wyżej! i w górę! — przewodnia gwiazda ziemskiej nędzy...

Jego bronią — potęga Myśli — czasem na kształt błyskawicy, to znowu na podobieństwo chłodnej stali miecza, skierowanej na pokonanie zagadek jaźni i tłumu błądzeń, które ciężkim zwałem przygniatają i ranią jego serce, szarpią mu mózg.

Mknie! W piersi jego rzężą instynkty, rozpacznie łka głos egoizmu, z natrętnością nałogowego żebraka błagający o jałmużnę, zbite włókna porywów serca omotują go, niby bluszczem, karmią się jego gorącą krwią... cały kompleks uczuć pragnie go obezwładnić i nad jego duszą świetne odnieść zwycięstwo. A chmary niezliczonych małostek powszedniego życia podobne są błotu lub gadom ślizkim na jego drodze.

I jak planety otaczają słońce, tak człowiekowi ze wszech stron towarzyszą wytwory jego własnego ducha: a więc wiecznie łaknąca Miłość; nieopodal poza nim — kulejąca Przyjaźń; przed nim — znużona Nadzieja; oto Nienawiść, w objęciach Gniewu, podzwania łańcuchami cierpienia; a Wiara rzuca nań z podełba spojrzenie nieufne i czeka cierpliwie na chwilę, w której porwie go w swe objęcia...

On zna je wszystkie, do jego cichej świty przynależne, potworny, niedoskonały, słaby wykwit jego twórczego ducha!

Owite w łachmany zużytych prawd, zatrute jadem przesądów, śpieszą z cichym, nieśmiałym protestem za Myślą, nie nadążając jej polotowi, jak nie nadąża wrona orłu, ustawicznie ścierając się z nią o pierwszeństwo i rzadko tylko zespalając się z nią w jeden intenzywny, twórczy płomień.

A Śmierć, niema i tajemnicza, nieodłącznie towarzyszy Człowiekowi w jego wędrówce, zawsze gotowa złożyć na pałającem żądzą życia sercu jego swój Judaszowy pocałunek.

On zna całą swoją świtę, ale najpokrewniejszym mu jest — Szał...

Skrzydlaty, potężny, jak wichry, śledzi za każdem poruszeniem Człowieka, gotów każdej chwili zniewolić Myśl swoją żywiołową mocą i puścić się z nią w dziki tan.

I tylko Myśl — wierna przyjaciółka Człowieka — nie opuszcza go nigdy; i tylko płomień Myśli oświeca mu wytrwale drogę, pełną przeszkód, zagadek i tajemnic.

Wskazuje mu Ona przebiegłość i płytkość Miłości, jej żądzę panowania nad kochanym, dążenie do haniebnego poniżania jego w jego godności.

Ona wskazuje mu niemoc Nadzieji i kłamstwo poza jej plecami — jej rodzoną siostrzycę — kłamstwo paradne, malowane, strojne, gotowe zawsze zawieść każdego lub pocieszyć pięknem słówkiem. Myśl wskazuje wyrachowaną powściągliwość Przyjaźni, jej próżną ciekawość, zgnile plany zawiści i zarodki kalumnji i oszczerstwa.

Myśl widzi i ocenia siłę czarnej Nienawiści i wie, że jeśli z niej raz zdejmie okowy, natenczas ona siać będzie zniszczenie, nie znając zmiłowania ni sprawiedliwości!

Myśl wskaże Człowiekowi złośliwą żądzę bezgranicznej władzy u Wiary, dążącej do znieczulenia wszystkich uczuciowych refrenów, wskaże bezwładność jej ciężkich skrzydeł i ślepotę jej pustych oczu.

Ona idzie do boju i ze Śmiercią; bo wstrętną jest dla niej ta bezpłodna, nieużyteczna siła, — kiedy ona sama jest wolną i nieśmiertelną; ona to stworzyła wielką teorję ewolucji, jak stworzyła mnóstwo bogów, innych systemów filozoficznych i nauk na jego wyłączny pożytek. Śmierć dla niej podobną jest do szmaciarki — baby, chodzącej od podwórza do podwórza, zbierającej do swojej torby nieużytki, szmaty i gnijące odpadki, ale czasem kradnącej i to, co zdrowe i mocne.

Cała przesiąkła wonią rozkładu, przesłoniona całunem okropności, apatyczna, bezosobowa, niema, wyrasta przed Człowiekiem odwiecznym znakiem pytania, zazdrośnie analizowana Myślą — twórczą i słoneczną, dumną ze świadomości nieśmiertelności swojej. Tak to wędruje Człowiek pośród mgieł, z czołem wzniesionem górnie! W zwyż! Ku słońcu!

(Dok. nast.).

Przełożył

Jan Zbierzchowski.



Jaką drogą poszły zabytki.

W wydrukowanym obecnie protokole obrad zjazdu konserwatorów, odbytego z. r. w Przemyślu, znajdujemy w referacie dra A. Czołowskiego cały szereg faktów zniszczenia starożytnych zabytków. Referent wybrał tylko co jaskrawsze i znane przypadki a mimo to stworzyła się z tego cała litanja. I tak w Boryszkowcach nad Zbruczem odkopano w r. 1889 cmentarzysko przedhistoryczne. Naczyniami malowanemi, odkopanemi, rzucali parobcy na siebie wśród żartów. Wszystko zostało zniszczone. W Tomaszowcach p. Kałusz, odkopano w r. 1892 miecz bronzowy, starożytny, który miejscowy kowal zużył do lutowania. W okolicach Halicza, Trembowli, Dźwinogrodu i t. d. dzieci bawiły się przedmiotami, luźnie poznajdowanymi, między którymi znajdowały się także plomby ołowiane od dyplomatów patrjarchów wschodnich z XII. i XIII. w. Znany „skarb Michałkowski", odkryty dwukrotnie w r. 1877 i 1897 w małej części tylko dostał się do publicznych zbiorów, reszta poszła na metal do żydów prowincjonalnych. Z wykopanego w r. 1876 w Czerniejowie pod Stanisławowem dużego garnka monet starej Palestyny i kolonji greckich, z monet arabskich i bizantyńskich do XIII. w. ocalało tylko 45 sztuk, resztę przetopił miejscowy paroch na dzwony.

Rząd austrjacki zburzył fortyfikacje Lwowa, Przemyśla, Stanisławowa, Brodów, Żółkwi i wielu innych miast i miasteczek. Z trzystu zamków i zameczków na Rusi nie wiele tylko zostało, znikły oba zamki lwowskie, jarosławski, bełzki, stryjski, samborski, żydaczowski i t. d., rozebrane do fundamentów. Z innych zaledwie słabe pozostały ślady. Dowodem tego resztki ruin takich zamków, jak halicki, trembowelski, żółkiewski, husiatyński, mikuliniecki, sidorowski, czortkowski, buczacki, jazłowiecki, dobromilski, pniowski, rakowiecki, kudryniecki, krzywczycki i wiele innych. Zamki złoczowski, brzeżański, tarnopolski zamienione na koszary, starosielski na browar, jagielnicki na fabrykę tytoniu, zbarazki na cukrownie, laszecki rozebrany do jednej piątej. Słynny zamek w Podhorcach był trzykrotnie wystawiany na licytacje, które pozbawiły go nietylko najcenniejszych zabytków, ale nawet miedzianego dachu.

Skutkiem kasaty zakonów znikło w samym tylko Lwowie piętnaście kościołów i cerkwi, na ratunek finansów austrjackich pozabierano w latach 1807 i 1809 prawie wszystkie zabytki polskiej

sztuki złotniczej, z obawy przed rewolucją sprzedawano handlarzom na złom całe stosy starej broni. W r. 1773 odbyła się we Lwowie pierwsza licytacja broni, odebranej konfederatom barskim, później licytacje te powtarzały się aż do roku 1880. Artystyczne, spiżowe działa dawnej twierdzy stanisławowskiej i brodzkiej przelano w Mizuniu na działa nowego systemu.

Nieumiejętne restauracje kościołów i cerkwi, jak np. presbiterjum w katedrze lwowskiej, kościół w Żółkwi, w Mościskach i t. d. dokonały reszty zniszczenia. Zabytki ruchome kościoła żółkiewskiego, monastyru w Krechowie i cerkwi wołoskiej we Lwowie, były długo prawdziwą kopalnią dla handlarzy zagranicznych i podwaliną fortuny znanych wiedeńskich firm antykwarskich.

Co do zabytków rękopiśmiennych, to archiwum Potockich w Buczaczu sprzedane zostało na papier, a Cetnerów w Krakówcu na zawijanie drożdży. Archiwum Mniszchów w zamku w Laszkach Murowanych, zawierające między innymi materjały do Dymitrów Samozwańców, zostało odkryte przypadkiem w karczmie żydowskiej i ocalone od niechybnej zagłady. Archiwum Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich w Żółkwi, umieszczone w wieży zamkowej, poszło na podpałki do pieców. Inne archiwum Sobieskich w Pomorzanach zostało sprzedane na makulaturę. Trzecie znowu, odnoszące się do dóbr Zborowskich, mieściło się w Jurczowcach, w osobnym domu, w którym dzierżawcom żydowskim pozwolono założyć chajder. Uczęszczające doń dzieci pokój z archiwum zamieniły na wychodek, a tem samem zniszczyły wszystkie akta. Archiwum Wiśniowieckich i Potockich zbutwiało zupełnie w zamku zbarazkim, po przegniciu dachów i stropów.

Pożar bibljoteki uniwersyteckiej w r. 1848 zniszczył słynne dyplomy tynieckie i mnóstwo nieznanych dziś druków, zabranych ze zniesionych klasztorów. Taki sam los spotkał wtedy i registraturę miejską we Lwowie. W pożarze Stanisławowa 1869 spaliło się też wielkie archiwum tamtejszego sądu szlacheckiego.

W r. 1892. Namiestnictwo sprzedało do papierni kilkaset oprawnych tomów, zawierających inwentarze i lustracje dóbr koronnych. W r. 1897 przy zaprowadzaniu nowej procedury cywilnej, wybrakowano i sprzedano z sądów Galicji wschodniej przeszło ośmset cetnarów metrycznych starych aktów, wśród których znajdowano pergaminy, sięgające XIII. w. W r. 1902 w piwnicach sądu apelacyjnego we Lwowie leżało kilkaset oprawnych tomów spraw dawnego Trybunału z XVIII. w. W kilka miesięcy później poszły do papierni.

Fr. J.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Wiesław Sclavus: „Królobójcy“, Lwów, Księgarnia Polska 1905.

Do znacznej liczby różnych elaboratów, zrodzonych pod wpływem obecnego zaciekawienia się sprawami Rosji, należy i ta rzecz. A ponieważ pisaną ona była dla dogodzenia chwili, więc autor ani nie miał czasu ani interesu w nadaniu jej form bodaj cośkolwiek naukowych. To też jest to kompilacja, utworzona z szeregu rozmaitych książek, broszur i gazet, opisująca dzieje, a względnie to, co bardziej zaciekawia, — skandale dworu rosyjskiego, począwszy od Iwana Groźnego, aż do ostatnich chwil.

Żeby przynajmniej autor kompilował z większym aparatem krytycyzmu, niestety p. S., goniąc za sensacją, przenosi jakieś tanie szczególiki z bardzo problematycznej wartości źródeł, a pomija opracowania nowsze, dotyczące tego przedmiotu, — tak ma się rzecz n. p. ze śmiercią Aleksandra I., gdzie autor, idąc za niewiadomo jakiem źródłem, podaje, że umarł aż w Tomsku na wygnaniu, a nic nie mówi o innem zdaniu biografa tego cesarza, Schildera.

Podobnych zarzutów możnaby mnóstwo sformułować, czy to gdy jest mowa o dekabrystach, czy o śmierci Pawła, do czego przecież wyszedł cały szereg publikacji, że wspomnę tu ostatnią Schiemana, a o których autor nic nie wspomina, — to też dość dziwnie wygląda tych 34 pozycji bibljograficznych, zamieszczonych na ostatniej karcie, w obec takiej mnogości dzieł, traktujących o tym przedmiocie.

Książka nie przynosi niczego nowego, i może być zaliczoną chyba tylko do dzieł o treści informacyjnej i to do dzieł bardzo słabych, do których czytelnik musi się zabierać z podwójną dozą krytycyzmu, bo musi rozbierać krytycznie i wartość źródeł, na których się autor opierał, no i musi dokładnie kontrolować prawdziwość faktu w przedstawieniu samego autora.

Bronisław Pawłowski.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.